Rozmaitości

Dnia 23. Grudnia — Nr. 52. — Roku 1841.

PACYJENTKA.

(Dokończenie.)

5.

W pięknym pokoju koło okrągłego stołu siedziało kilku mężczyzn. Właściwy kształt kielichów, które miały niejakie podobieństwo do narcyzów, i rodzaj wesołych dowcipów, upoważniają mnie do wniosku, że treść flaszek musiała być albo prawdziwym, albo przynajmniéj bardzo prawdziwemu podobnym szampanem. Gdyby kto był wynalazł *barometer* dla mierzenia ciężkości głów sprawionéj nieumiarkowaném użyciem gorących napojów, mógłbym był dokładniéj opisać atmosferę głów tego szanownego towarzystwa; lecz gdy do tego czasu wynalazek ten dla potomności zachowanym być się zdaje; muszę poprzestać na tym ogólniku, że byli w stanie przechodowym między małym szmerem a zupełném upiciem się, że byli w przedsionku do nieba, gdzie dusza składa etykietę i ostrożność, te płaszcze i kalosze duchowe przeciw dészczom i błotu materyjalnego świata i objawia się w swoim otwartym ubiorze.

»A co, nie zdałoby się co zakąsić?« zapytał pan baron Rachmilski.

»Fe!« zawołał Henryk; »napój jest poezyją żołądka, nie przerywajmy jéj prozą jedzenia.«

»Słusznie mówisz Henryku«, odrzekł ten sam, już w drugiéj porze roku zostający mężczyzna, którego już piérwéj na salonie poznaliśmy. »Wypijmy ten kielich na zgubę wszystkich towarzystw trzeźwości!«

»Najchętniéj«, rzekł baron, »te przeklęte towarzystwa psują mi propinacyję i znacznie zdywidowały moje dochody z winnych szynków.«

»Wiész co baronie«, rzekł Henryk. »Dawno ci zbiérałem się powiedzieć, że wstyd robisz szlachcie, wdając się w interesa mieszczańskie, lub może chęć sławy powoduje tobą w dobijaniu się o honor cechmistrza w szanownym cechu naszéj starożytnéj stolicy?«

»Nie widzę w tém« odpowiędział baron, »żadnéj obrazy dla szlachectwa, wszakże każdy szlachcic szynkuje.«

»A bardzo proszę«, zawołali wszyscy, »co wódka to nie wino, ty w mieście, a my na wsi, a darujesz, to różnica.«

»Słusznie masz baronie«, odrzekł Henryk, który swój dowcip kieliszkiem na zgubę towarzystw wstrzemięźliwości wypitym zaostrzył. »T w o j e m u szlachectwu to nie szkodzi, wstępujesz tylko w ślady twoich przodków.«

»Moje szlachectwo« odrzekł baron, »w niczém nie jest gorsze od twego, wszakżeśmy spokrewnieni?«

»My spokrewnieni?« zapytał Henryk z podziwieniem. »Niepotrzebnie czynisz mi ten honor, bo ile mi wiadomo, żaden z moich przodków nie chodził na *krucyjaty*.«

»Cóż to ma do tego?« zapytał baron.

»Wszak tylko w Palestynie mogli się nasi przodkowie spokrewnić«, rzekł Henryk z ironicznym uśmiéchem.

»To obraza!« zawołał Rachmilski i powstał. »Gdybym nie szanował twego domu hrabio S....«

»Kochany Henryku«, rzekł hrabia. »Proszę cię, ustąp.«

»Zgoda panowie, zgoda!« zawołał ów wyż wspomniony mężczyzna, którego *brevitatis causa* panem Antonim nazwijmy, »a na zgodę nowy kielich.«

Ten kielich był dla wszystkich progiem do zupełnego upicia się. Przekroczyli go wszyscy, tylko gospodarz mniéj pijąc, zachował przytomność.

Henryk zaczął płakać. »Mój przyjacielu« bełkotał do hrabiego S.... »Ty mnie nie kochasz... tyś smutnym... nie chcesz mi powiedzieć... ty mnie nie kochasz...«

Na to się odezwał nasz pan Rachmilski, powiernik hrabiego: »To przeklęta jaszczurka ten ojciec Anieli... oszukał mnie na koniach...«

»Mnie by on nie oszukał«, odrzekł pan Antoni, »jak cię kocham baronie, mnie by on nie oszukał... ale ona mnie oszukała... ona jaszczurka.«

»Co tam ciebie« mówił baron, »ona oszukała naszego gospodarza... kochanego... ja cię kocham... choć, niech cię pocałuję... majątek... rozum... o! oszukała! ale zjé diabła... moje konie...«

»Ty mnie nie kochasz«, płakał Henryk, »gdybyś mnie kochał...«

»To twój Hiszpan, toto ptaszek« zawołał Rachmilski i wpadł w ręce Morfeusza i pana Antoniego, który także już usypiał pod ciężarem dziennéj pracy.

»Ha, ha!« śmiał się Henryk, »on taki Hiszpan jak i ty! Ha, ha! to Doręba, mój kolega szkolny... ale ptaszek!«

»Co?« zawołał hrabia S.., »więc to oszust? Niegodziwie postąpiłeś sobie panie Henryku, nadużyłeś zaufania familii.

»To mnie nic do tego«, zabełkotał Henryk. »On taki Hiszpan jak Rachmilski szlachcic, i... kwita.«

Byłyto jego ostatnie słowa. Uległ podobnemu losowi jak Rachmilski, pochylił się na niego i usnął na łonie Abrahama.

Hrabia S... chodził po pokoju. »Muszę ich uwiadomić o wszystkiém... ona będzie moją!«

6.

Noc była spokojna, jedna z tych nocy pięknych, które następują po dniach parnych i piekących. Księżyc skrzywiony jak demeszka żeglował pomiędzy gwiazdami. Jakaźto figura zawinięta w płaszczu, przechadza się ponad brzegiem huczącéj rzéki? Stanął nad rzeką, wpatrzył się w nurty, słuchał dzikiéj muzyki wodospadu. W ręce trzymał pistolety i ponuro rzekł: »Bądź jak bądź... pójdę do niego, albo przyjmie pojedynek, albo zginie od razu z mojéj ręki.«

Ludzie rozumni nie zwykli rozmawiać sam na sam z sobą; ale są chwile w życiu, w których głos mimowolnie wydziéra się z ust, a pierś przepełniona, nie może w sobie przytrzymać uczucia, i mimowolnie za pomocą głosu ulżyć się stara. Czy łza i słowo jest konduktorem boleści? Musi tak być, bo czemubyś płakał, gdy jesteś samotny!

W takim stanie zapewne znajdował się nasz młodzieniec, bo spuszczając głowę, rzekł: »Więc do tego z tobą przyszło, krok jeszcze jeden, a byłbyś zbrodniarzem!«

Milczał długo, ale myśl jego nie milczała. Widział przed sobą dom rodzicielski i dym wijący się nad strzechą jego, i matkę nieboszczkę i brata zmarłego. Zdawało mu się, że ich widzi przed sobą, że matka ręką swoją odwijała mu jak dawniéj włos z czoła i pytała jak dawniéj: »Cóż ci takiego Karolu, czemuś tak smutny?« Wspomniał sobie na swój wiek dziecinny tak miły i spokojny, wspomniał o ojcu starym, którego już tak długo nie widział. Samotność nasunęła mu wszystkie te obrazy, przywiodła go do upamiętania się, zastanowił się nad krokiem, który uczynić chciał i zadrżał nad samym sobą.

Milczał długo, patrzał w ten firmament zasiany gwiazdami. Czyli i on usłyszał muzykę sfer, którą Plato słyszał? Czyli odkrył szczęśliwą myślą klucz do wytłumaczenia tych hieroglifów, któremi Bóg napisał jakieś dziwne talizmany po swojém niebie? Nie wiém, co myślił, ale łzy ciekły po jego licu, rzucił pistolet, popatrzył na park ogrodowy, w którym kwitł ów Aloes. Nieszczęsne to drzewo, obudziło w nim wszystkie myśli, cały żar miłości, całą chęć posiadania ukochanéj osoby, trząsł się jak liść różnémi kołysany wiatrami. Ktożby był w stanie wyśledzić całą *genezis* pokuszenia, czyli jak się gmin wyraża, diabła.

Zaczęło świtać, w blizkim kościele zadzwoniono na pacierze. Szczególny to traf: te proste dźwięki, te dźwięki dawnéj wiary, wiary ofiarowanéj dowcipom kolegów, wiary straconéj śród gwaru pustego świata, rzuciły go na kolana, złożył ręce jak dziecko i słyszeć się dał głos: »Ale nas zbaw ode złego!«

Nieco uspokojony szedł drogą, przechodził koło poczty, widział właśnie próżne miejsce na szybkowozie mającym odéjść do Kijowa... Siadł do pojazdu, a trąbka pocztylijona była trąbką zwycięztwa jego dobrego anioła.

7.

Na wzgórzu stała chatka prosta, słomą pokryta, chata dawnego dziedzica małego sołtystwa. Porządne stajnie i spichlérze otaczały to małe schronienie. Już było późno, nie widziałeś przed domem nic prócz jednego psa, którego ślépie w dalekiém tonęły przestworzu.

Po chwili zerwał się pies i opadł jakiegoś wędrowca, ale gdy bliżéj postąpił ku niemu, zaczął lizać jego ręce i skowyczeć tym właściwym głosem, którym to wierne źwiérzę dawnych znajomych witać zwykło.

»Jak się masz wilczku«, zawołał młody człowiek. »Jużeś mi się postarzał... co słychać w domu, jak się mają?...«

Pies skowyczał, jak gdyby się chciał skarzyć, że wypowiedzieć nie może.

Wędrowiec wszedł nareszcie do domu, zapukał do chaty, otworzyły się drzwi. »Wszelki duch chwali pana Boga!« zawołała stara niewiasta. »Jakem się przelękła...« i rzuciła mu się na szyję. Byłato niańka jego; staruszka zaczęłą rzewnie płakać.

»Jak się macie Anno?« rzekł młodzieniec, »jak się ma ojciec, co robi ciotka?...«

Niańka nic nie odpowiadała. Wyszła nareszcie ciotka, przywitał się z nią, ale ojca nie było.

»Gdzież ojciec?« pytał; ale żadnéj odpowiedzi. »Mówcie dla Boga, czyli już nie żyje?«

»Ach panie!« rzekła stara Anna. »Trzy dni temu, jakeśmy go pochowali... wyglądał pana... »Żebym ja mógł choć raz przed śmiercią zobaczyć mego Karola!« i znowu zaczęła szlochać staruszka. Pies wył, jakby i on rozumiał, o co rzecz chodzi.

Karol nic nie mówił, nie płakał, przeglądał recepty leżące na stole, widział, że źle ojca léczono. Gdyby był piérwej przyjechał, gdyby nie ta nieszczęsna miłość, możeby mu był życie uratował.

»Czy nie zjesz co mój Karolu?« rzekła ciotka. »Co się stało, już się stało... cośmy się już napłakali!« I aby go pocieszyć, opowiadała mu, że miał piękny pogrzéb, że księży Bazylijanów było cztérech, że jeden miał piękną mowę i tém podobne domowe lékarstwa na utrapienie. Nie miały skutku te lékarstwa. Karol milczał, ale w piersi jego żal i miłość grały z bardzo dzikiego tonu.

Ciérpkie doświadczenia życia, przykrości dalekiéj podróży, ostatni cios nareszcie sprawiły to, że zapadł w nerwową gorączkę. Pół roku trwała ta choroba, mimo wszelkie domowe lékarstwa cioci i uczone léki chyrurga. Zdrowa natura Karola odniosła zwycięztwo. Ciotce oddał małą puściznę po ojcu w dożywocie, sam zaś udał się w podróż do Rossyi, gdzie praktykę swoję rozpocząć zamyślił.

8.

Dziesięć lat już minęło od téj chwili. W pięknéj górzystéj okolicy, leżała wieś K... sławna wodami mineralnémi. Dwa piękne domostwa rozciągały się po obu stronach źródła; byłyto łazienki. W jednéj z tych cel łazienkowych siedział mężczyzna koło 40 lat mający. Twarz jego myśląca, rysy dumne, oko przymglone nie wiém, czy smutkiem, czy zadumą. Z tego stanu ocknięty został najpiérwéj zapukaniem do drzwi, późniéj zaś wejściem jakiegoś gościa. Był on czarno ubrany, twarz pociągła, blada; blondyn, oko wesołe i jasne. Pozdrowił go nasz dumający: »Kogo mam honor witać?« zapytał.

»Cóżto Karolu, nie poznajesz dawnego twojego kolegi?«

»Jeżeli się nie mylę« odrzekł Karol, (gdyż to był nasz ex-markiz), »jesteś pan Franciszek?... Jakże się masz kochany kolego, ale odmieniłeś się nieco.«

»Człowiek ma familiję, troski«, odrzekł pan Franciszek — »a tyś się nie ożenił?«

»Jestem jeszcze kawalerem«, odrzekł Karol... »Ale jakże się to stało, że ty zacięty wróg wszelkiego małżeństwa, wielbiciel złotéj kawalerskiéj wolności, dałeś się usidłać? Musisz mieć rozumną żonę.«

»Ot! nie żartuj sobie«, rzekł Frańciszek. Szczęśliwy jesteś, zrobiłeś jak słyszałem, wielki majątek, posiadasz wielkie dobra. Sława twoja obiła się i o moje uszy. Gratuluję ci z całego serca, cieszę się z twojego szczęścia.«

»Szczęścia?« zawołał Karol. »Nie cieszyłbyś się, gdybyś go bliżéj poznał! Mam pieniądze, ale samotny stoję w świecie, bez krewnych, bez dzieci. — Wierzaj mi mój drogi, nié ma szczęścia na świecie bez familii!«

»Ale też nié ma i nieszczęścia bez niego« odrzekł żywo Frańciszek. »Co za troski może mieć wolny człowiek, który nié ma żony i dzieci! Wesół bez zgryzot, bez trosek, w gronie przyjaciół pędzi to krótkie życie.«

»A choroba!« zawołał Karol. »Pomyśl sobie człowieka leżącego na łożu śmiertelném, nie widzącego w okół siebie żadnéj duszy, którąby prosiła Boga o wyzdrowienie kochanéj osoby!«

»Ot poezyja!« przerwał Frańciszek »marzenie!«

»Nie jestto marzeniem«, rzekł żywo Karol. »czego się tak mocno, tak przeważnie natura serca ludzkiego domaga. Ta pogarda spółczuć mści się nad występnym oblekając jego serce krustą egoizmu, i czyniąc go niezdolnym do wszelkich niewinnych i skromnych uciech.«

»Wierzaj mi Karolu«, zawołał Frańciszek. »Nié ma ludzi większego zdolnych poświęcenia jak kawalerowie. Dzieci i żona, sąto prawdziwe hamulce szlachetnych uczuć. Nieraz, jeżeli chcę pójść zabawić się z przyjaciółmi, wnet się jéjmość zacznie krzywić... Ot nie umiész szanować swojego szczęścia... Znam ja dobrze te sentymentalne uciechy... ale kolego przerwijmy dysputę! Przyszedłem do ciebie w interesie: mam tu pacyjentkę, która do tych kąpiel przybyła i pod moją zostaje kuracyją. Szczególna jéj choroba: rodzaj melancholii, graniczącéj z łagodném obłąkaniem. Ty, który posiadasz tyle wiadomości w chorobach umysłowych, mógłbyś mi być bardzo pomocnym.«

»Najchętniéj, służę ci zaraz«, odrzekł nasz Hiszpan i obadwaj wyszli.

Weszli do jednéj z cel łazienkowych, w któréj spuszczone zielone firanki przyjemnie łagodziły światło dzienne. Na sofie siedziała dama około 30 lat mająca, smagławo-blada, ale już nie wesołych oczu. W jéj twarzy widny był ten smutek trawiący, który się zdawał być skutkiem nieszczęsnéj namiętności, łub też téj niektórym osobom właściwéj do marzeń skłonności, która w wygodném życiu wyższych stanów tém większy żywioł znajduje.

»Łaskawa pani« rzekł Frańciszek, »pozwól sobie przedstawić sławnego doktora Dorębę.« Dama podniosła oczy na zdziwionego Eskulapa i poznała w nim naszego Hiszpana. Widoczne było ich pomieszanie. Karol poznał w niéj dawną Anielę, któréj brakował wprawdzie miły urok wesołości, ale lekka chmura żalu dodawała wdowie po hrabi S... tém więcéj interesowności.

»Czy mogę mieć nadzieję łaskawa pani« rzekł Karol, zebrawszy swoję przytomność umysłu, »że powierzysz swoje zdrowie moim talentom?«

»O talentach pańskich« rzekła hrabina z gorzkim uśmiéchem, »któżby wątpił!« Karol wziął ją za puls, czuł dreszcz, którą drgały jéj nerwy, trzymał długo jéj rękę, wspomniał na owę scenę w parku i z gorzkim wyrazem rzekł: »Wyskok z liści Aloesu będzie najskuteczniejszém lékarstwem.«

»Oto są moje recepty«, rzekł Frańciszek. »Ja spieszę, bo już jedénasta godzina, a mam jeszcze dwie wizyty odbyć.« Ukłonił się hrabinie i wyszedł.

Karol nie spieszył się, lecz przepatrywał recepty. Był z nią sam na sam.

Nie chcę nudzić czytelnika rozmową, któréj treść w kilku zawiéra się słowach: Przebaczyła mu wszystko, bo któraż kobiéta nie przebaczy tego występku, że się ją kocha.

* * *

W kilka miesięcy po téj scenie, rzekł Frańciszek do Karola: »Dobrze kurujesz, nié ma co mówić... ale też dobre *honoraryja* bierzesz. Wykurowałeś sobie pacyjentkę, aby się z nią ożenić... Jakże ci się podoba stan małżeński?«

»Jestem najszczęśliwszy z ludzi!« zawołał Karol.

»Ciekawym, jak to długo potrwa?« zapytał Frańciszek z dowcipnym ironicznym uśmiéchem doświadczonego człowieka.

ODRADZANIE SIĘ ORYJENTU.

(Dokończenie.)

Gdy z Portugalii przejdziemy do Francyi, zaraz uczujemy, że poezyja oryjentalna natchnąć nie zdołała wieku Ludwika XIV.! Tu Sofokles i Dawid wiedli jeszcze spór o pierwszeństwo w poezyi. Nawet skeptyczny wiek ośmnasty nie zetknął się z natchnionym Oryjentem. Czasem tylko użyto Azyi za płaszczyk, pod którym ukrywano najzuchwalsze własne pomysły. Przecież i to było ku pożytkowi, że przynajmniéj to nazwisko wymawiano i że niektórzy uczeni zwrócili

swój wzrok ku Azyi, chociaż lud nie miał w tém jeszcze żadnego udziału.

W kilka lat po Duperronie, błąkał się po tych samych brzegach drugi podróżny, którego przeznaczeniem było, ułożyć komentarz do oryjentalnych umiejętności. *Bernardin de Saint Pierre* ochrzcił francuzką poezyję w wielkim Oceanie. Dwie postacie z pod obcego nieba przynosi do Europy: *Pawła* i *Wirginiję*. Każde ich tchnienie świadczy, że od piérwszéj chwili życia innóm oddychali powietrzem, w inne, niż my, patrzyli niebo. Ich myśl łagodniejsza i słodsza niż daktyl, rozwinęła się daleka od namiętności i wspomnień naszego świata. Ich mowa rzadkiéj miękkości, brzmi jak szum kwiatów na wyspie, którą tylko co wychyliło morze z przeczystego łona. Ich nie uczono czytać w księgach naszego Zachodu, księgą ich były góry przez nich zwidzane, nieba przez nikogo nie zmierzone i gwiazdy, których jeszcze nikt nie zapytywał. Porównywając Wirginiję z poetycznémi postaciami Hindów, z *Sakontalą*, z *Damajanti*, dziwimy się, czując żywo, jak to samo słońce i takie samo powietrze, podobnémi eterycznemi pomysłami natchnęło zarówno europejskiego jak i oryjentalnych poetów. Bernardin de Saint Pierre jest chrześcijańskim braminem. Jeszcze nie wspomniałem o najsilniejszym naszego wieku poecie, który ogniwa łączące Europę z Oryjentem, jeszcze mocniéj spoił, niż wszyscy jego poprzednicy. Powracając z zwycięztw, wynurzył Bernardinowi de Saint Pierre radość, jaką mu Paweł i Wirginija sprawiły, i postanowił to w czyn zmienić, co Bernardin słowem ogłosił. Przez Persyję chciał się dostać do Gangesu nito drugi Aleksander, i chociaż tam nie doszedł, przecież pieśń połączenia obu światów, krwawémi spisał głoskami od piramid egipskich aż po Kremlin, stojący z przeciwnéj strony na granicach Oryjentu. Tym wielkim poetą, który Europie ujarzmieniem groził, był Napoleon. Więcéj, niż kto inny wlał on krwi azyjatyckiéj w żyły Francyi, jego poemata zwały się proklamacyjami, on nawet mowę przekształcił. Gdy mówi: »Myśmy spadli z Alpów jak potok nawalny«, lub: »jestem Bogiem Alpów«, jestżeto dyplomatyczny język z czasów Ludwika XIV? Podobnie tylko Mahomet przemawiał, a Napoleon jest Mahometem Europy.

I w Anglii utwory sztuki odpowiedziały umiejętnym badaniom Williama Jones, Wilkinsa i Kolebrooka. Nie zatrzymując się przy mniéj ważnych utworach (tak n. p. w poezyjach Schelleja, łatwoby było wykazać już z tytułu i z samego przedmiotu wpływ Oryjentu), wspomnę tylko o poecie, reprezentancie wszystkich, o lordzie Byronie. W roku 1809 postanowił Byron odbyć podróż do Persyi; wszelako przedsięwzięcie zmienił, i przez lat dwa bawił tylko w Morei i w Konstantynopolu. W jego poezyjach jak częste wspomnienia kraju, w którym rosną oliwy i cyprysy, gdzie kobiéty piękniejsze od róży, a róża sułtanką słowików, gdzie wszystko boskie prócz myśli człowieka! Podróż *Child Harolda*, ta pielgrzymka rozpaczy, mająca początek i koniec na brzegach Lewanty, świadczy jasno, gdzie była fantazyja i myśl poety. A z kądże w bajronowskich pieśniach bierze się ten urok, który świat cały porywa do uniesień? Li z sprzeczności pokoju i harmonii oryjentalnéj przyrody z burzliwą myślą i z boleścią serca wychowanego w pośrodku nas Europejczyka.—Nie dosyć było Byronowi na tém, że przedstawił duchowe spłynienie Azyi z Europą; on postacie oryjentalne, natchnął własną duszą. W *Korsarzu*, *Giaurze*, *Mazepie*, *Oblubienicy z Abydos* przebija się zarówno oryjentalna jak i angielska narodowość, a właśnie te narodowe barwy nadają oryjentalnym poezyjom Byrona właściwą im głębokość i twórczość. Nawet dumny i ponury *Manfred* na lodowcach szwajcarskich rozmawia z azyjatyckiémi duchami i wzywa Ormuzda i Ahrimana. Giaur jest półchrześcijaninem, półislamitą, albo raczéj odszczepieńcem obudwóch religij, których sceptycyzm w jego zagnieździł się sercu. Pokój maluje się w obliczu, a burza wichrzy duszą jego. O kobiétach, które Byron opiéwa, bez zgrozy ani zamilczéć, ani mówić nie można. Kto są *Gulnare*, *Medora*, *Kated*, *Zulejka*, *Leila*? Czy ich kolébką także jest Azyja? O, nie szukaj ich w Oryjencie; w niemych licach przebija się walka namiętności europejskich, a w burzliwéj myśli nie znajdziesz rezygnacyi i obojętności Oryjentu. Nawet Medora spokojem duszy najwięcéj zbliżona do Wschodu, nie ma tych uczuć, jakie w swém łonie pieści Algierka. W jéj oczach odbija się melancholija szkockich i atlantyckich wód, w jéj islamickiém sercu płonie wiara chrześcijańska. Od jak dawna na Niemcy wywarł Oryjent swój wpływ, oznaczyć nie podobna. Już sam język niemiecki spokrewniony z oryjentalnym. W naszych czasach stoją Niemcy z swą spokojną, chłodną rozwagą nito chrześcijański Oryjent pośród Europy. W dawnych germańskich poematach wieje duch oryjentalny. Ci sami mgłą otoczeni bogowie, co zamieszkują północne germańskie bory, przebywają i na górach Baktryi. Jak żywo bogów indyjskich przypomina Wodan, którego czaszką jest niebo, okiem słońce, włosami lasy, a żebrami góry. Zwyciężony poniekąd przez chrześcijaństwo panteizm, wydobywa się w Niemczech na nowo, a teraz stanowi prawie niemieckiéj

poezyi żywotną siłę. Germanija nie słała nigdy okrętów do Oryjentu, jéj poeci spokojnie przy domowém siedzieli ognisku, a przecie żadna poezyja nie oddała tak prawdziwie ducha oryjentalnego, jak niemiecka. Zdaje się, że przyczyną tego są podania i spokojny w siebie zwrócony charakter, czém Niemcy z Oryjentem spokrewni, a może najsilniéj się przyczyniło kształcenie języka niemieckiego na Lutra tłumaczeniu biblii, w któréj myśl oryjentalna spoczywa. Herdera, *Duch poezyj hebrejskich*, nie da się z niczém porównać. Wnosićby można, że on u stóp góry Synai ujrzał światło dzienne. Niech filologija wiedzie spór o szczegóły; ducha poezyj hebrejskich jeszcze nikt tak zgodnie z hebrejską narodowością nie skreślił. Herder zdaje się być spółczesnym Hioba, Jezajasza, Mojżesza i nikt sprawiedliwiéj na imię proroka przeszłości nie zasłużył. W nim nié ma ogromu uczoności, on więcéj odgaduje niż bada; Oesenius, Ewald i inni ściśli badacze téj nauki, stwierdzili po większéj części jego zdania. Czém w siedmnastym wieku był autor Telemaka dla starożytnego świata Greków, tém stał się Herder dla azyjatyckiego.

Co Herder w krytyce, to Gete uczynił w poezyi, po któréj treść sięgał w głąb Azyi. Wnet podług indyjskiéj legendy tworzy pieśń o bogu i bajaderce, prawdziwą perłę z zatoki golkondzkiéj, wnet opiéwa machometanizm. Jego *dywan* jest zbiorem azyjatyckich poezyj, jak gdyby zdjętych z sklepienia meczetu w Mece. Myśl, duch, nawet barwy języka, są oryjentalne, a chrześcijańskiego poetę Europy zaledwie poznasz po formie. Spłynienia sprzecznych charakterów obu światów ciężko tam dostrzédz, czasami nawet jakaś groza nas przejmie, gdy ani ruch, ani uśmiéch, ani skarga żadna nie zapowiada, iż pod turbanem ukrywa się jeden z braci naszych. Dwie narodowości jak w Byrona pieśniach, w niemieckiéj literaturze tylko raz się spłynęły, w Getego *Mignonie,* która za to prawdziwą wyobrazicielką wszystkich tego rodzaju utworów być może. Jéj czarne włosy i oczy, sposób witania, zwyczaj spania na gołéj ziemi, żywo przypominają Oryjent. Z ojczyzny wyniosła tylko gorącą tęsknotę za krajem cytryn i pomarańcz,— a pod niemieckiém niebem skarzy się: »ziębnę.« Nieustannie łzy wyléwa i umiéra, żadnego jęku z piersi nie wydawszy. Wpływu, jaki wywarł Oryjent w téj postaci na Getego, zaprzeczyć nie można. Inni niemieccy pisarze trzymają się niewolniczo Wschodu. Görres w dziejach mitologij azyjatyckich jest więcéj filozofem z nad Gangesu, niż uczniem greckiéj lub rzymskiéj szkoły. Rückert myślą i formą jest oryjentalistą. Perskie poezyje, słodkie rozmowy perły z dyjamentem, słońca z różą, przenosi nad Ren i w niemieckich sercach budzi wspomnienia nito drugiéj ojczyzny.— Podobnie jak starożytny klasycyzm odżył w francuzko-rzymskiéj świecie XVI. wieku, utwierdza i uzupełnia się także duch niemiecki, perski i indyjski. Takie powinowactwo niemieckiego charakteru z azyjatyckim, rzuca światło na jedno z największych zjawisk naszego czasu, dla czego Niemcy nie mieli udziału w wywolanéj przez Byrona rozpaczającéj literaturze. Zwrócony w siebie Niemiec o wszystkiém zwątpił, o myśli nigdy, nie zaparł się istoty życia. Panteizm chronił go od ateizmu, a zadany przez niego cios tradycyi, nie obalił jéj, lecz przekształcił. Chrześcijanizm wniknął w wszystkie metafizyczne teoryje, bo Niemcy nigdy prawie nie zaparli całkiem objawienia, nie poszli ślepo za którymbądź systemem filozofii. Skeptycyzm niemiecki w całém znaczeniu ma wyobraziciela w *Fauście,* a ten nié ma nic wspólnego z Lucianem, Montaignem, Wolterem; Faust płonie żądzą, ogarnąć wszelką wiedzę i natęża wszystkie siły ducha, nawet ostateczności się chwyta, by dójść źródła życia i prawdy. Wszędzie go szuka: w naturze, naukach, na wielkim świecie, w samotności. Czy Bogu wyrówna, ta jedna wątpliwość go dręczy. Czyli to jest choroba francuzkich encyklopedystów? Nie jestto raczéj zuchwałość piérwszego człowieka pod drzewem świadomości złego i dobrego? I w zasadach filozofii odzywa się starożytny Oryjent. Między teraźniéjszymi metafizykami w Niemczech a filozofami z nad Gangesu, zachodzi tak wielkie podobieństwo, że ciężko różnicę wykazać. Wszelka analogija Azyi z Niemcami ma źródło w wspólném obojgu panteistyczném zapatrywaniu się na świat. Jak duch oryjentalny przenika poezyję i politykę Europy, tak przechodzi i w umiejętności, a metafizyka jako węzeł wszystkich, najsilniéj się nim przejęła. Na tém stanowisku jest teraźniejsza filozofija. Niemcy przekształcają oryjentalny panteizm, przez co przyspieszają odrodzenie się Oryjentu, podobnie jak Kartezyjusz przekształceniem idealizmu Platona, dokonał odrodzenia greckiego i rzymskiego ducha.

W IMIONNIKU M. S.

Ta biała karta zbutwieje,
Ta głoska spełznie, zniszczeje,
I podźwięk tych słów przebrzmieje.
Czyliż i myśl się rozwieje,
Która nasze serca splata?
I czucie, co w niebo wzlata,

Co nam silnie w pierś kołata,
Czyliż spali oddech świata?
—Chrobry umysł nie uklęka,
Choć go srogi los ponęka;
Czerep ziemi w szczęt popęka,
Gdy go młoda ściśnie ręka.
—Słowem, czynem w świat uderzaj,
Tchniéj weń ducha—w Jutro wierzaj!

i-k.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 51. i obejmuje: 1) Uwiadomienie. 2) Uprawa prosa węgierskiego (*panicum germanicum*). 3) Mącznik (*chenopodium*) nowa roślina pożywna. 4) O bezwzględnem ubieganiu się za zyskiem z gospodarstwa wiejskiego. (Dokończenie.) 5) Skład betonu czyli pewnego rodzaju wapna do fundamentów, jego przydatność i użycie w zwyczajnem budownictwie. (Dokończenie). 6) Odpowiedź na artykuł pana Dominika Flik, głównego rządcy w Morawii, i t. d.

Od nowego roku (1842) zacznie wychodzić miesięcznémi zeszytami, w czterech arkuszach z okładką nowy *Lwowianin*. Wydawca powiada, że przy współdziałaniu kilku światłych mężów, starać się będzie pismo swoje podnieść do rzędu lepszych tegoczesnych. Podzielił je na IV. oddziały: *Oddział krajowy* w piérwszym zeszycie, zawrze oprócz wstępnéj przemowy wierszem: Powieść z r. 1634 pod nazwą: *Pan Walenty Urbański, czyli najazd Żukowa*, oraz *Notę bijograficzną o hetmanie Jabłonowskim*, przez Teresę księżniczkę Jabłonowską.— *Oddział zagraniczny* zaczyna się poezyją z Wiktora Hugo wschodnich balad *Blask księżyca*, przekładu Wiktorowicza. *Beduini i lew puszczy*, opowiadanie naocznego świadka. *Forkensztajn, zamek książąt Esterhazych*, przez X. B. *Semiramida*, skic historyczny przez M. Michalewicza.—Trzeci oddział obejmie literaturę, a w czwartym zamieszczona będzie politechnika, to jest wynalazki w domowém gospodarstwie przydatne.

Poezyje Bohdana Zaleskiego. (Wydanie Edwarda Raczyńskiego. Poznań 1841 str. 287.) Zbiór ten obejmuje *Dumy a dumki Bohdanowe*, ksiąg dwoje i *Kilka wiośnianek i szumek*. Nie wiele ze znanych dawniéj poezyj umieszczono w tym zbiorze, sąto prawie same nowe utwory. Owa lekkość myśli, owa czarodziejskość stylu, ten sam duch pieśni gminnéj, to samo namiętne przywiązanie do rodzinnéj Ukrainy, które polubilismy w dawniejszych, cechują po większéj części i nowe utwory tego prawdziwego Bojana (wieszcza) ludu ukraińskiego. — Wyglądamy niecierpliwie dalszych przyobiecanych nam tomów.

P. J. J. Kraszewski ogłosił drugi oddział pisma *Athenaeum*. Myśli je rozszérzyć wiadomościami dotyczącémi się ogółu sławiańszczyzny i umieszczać także artykuły w pobratymczych narzeczach sławiańskich, obok z przekładem polskim. W tym celu w wydanym osobno prospekcie wzywa literatów rossyjskich, czeskich i piszących w innych narzeczach sławiańskich, by mu chcieli pomocy swéj udzielać. Podobną, na wzajemności sławiańskiej uzasadnioną myśl powziął pan Dubrowski w Warszawie ogłoszeniem pisma swego *Jutrzenka*, o którém dodatkowo to jeszcze namieniamy, że takowe mieścić będzie artykuły dotyczące się w ogóle literatury sławiańskiej, żywoty znakomitych sławiańskich pisarzy, podania ludu, pieśni, przegląd najnowszych dzieł w narzeczach sławiańskich i wiadomości z ogółu sławiańszczyzny. Luboć to pismo w rossyjskiém i polskiém narzeczu wydawane będzie, wszelako wiadomości z literatury rossyjskiej, jako ciekawsze dla Sławian zachodnich, tylko po polsku umieści.

W Warszawie ogłoszono pismo francuzkie polityczno-beletrycznéj treści: *Glaneur de Varsovie*.

Pan Jan Barszczewski w Petersburgu zapowiedział swój noworocznik *Niezabudka* także na rok 1842.

Księgarnia Schlettera w Wrocławiu zamierza wydać wszystkie dzieła Tadeusza Czackiego.

Pisma publiczne donoszą nam ze świata muzykalnego o dwóch pannach Haplińskich (rodem z Warszawy), odznaczających się śpiewem przy teatrze opery w Moskwie, i o czterech braciach Ładewskich (rodem z kaliskiego), z których najstarszy lat 20 liczący, ma już być wyborym skrzypkiem. Muzycy ci podróżując teraz po południowych prowincyjach Rossyi, wybierają się do Petersburga.

W *Journal des Debats* pod dniem 13. listopada czytamy: »Towarzystwo kasynowe muzykalne w Monachium dało niedawno pierwszy koncert zimowy, na którym prócz Królestwa Bawarskiego i rodziny królewskiéj, znajdowała się królowa pruska, W. księżna badeńska i wiele innych znakomitych osób. Koncert wykonany był przez 200 osób. Panna Heczek (Hetzchek), młoda śpiéwaczka rodem Polka, zwróciła uwagę swoim silnym, giętkim i pięknym głosem; odśpiéwała wielką aryję z *Medée* Cherubiniego, a sławny skrzypek Artot, odegrał koncert i warycyje własnéj kompozycyi, z wielkiém zadowoleniem przyjęte.«

Na teatrze *Gaiete* w Paryżu przedstawiono dramat pod nazwą: *Pontony*, który dekoracyjami swémi publiczność zachwycił. Scena pierwszego aktu dzieje się w Paryżu, ostatniego zaś w odnodze Kadyksu na pontonach, na których Francuzi jako wojenni jeńcy są uwięzieni. W scenie ostatniéj widać na zburzoném morzu okręt tonący, farba i ruch wody są aż do złudzenia udane, wychodzący z obłoków księżyc, rzucający długą, srebrną smugę na wzburzone fale, sprawia niezrównane wrażenie. Zatonięcie okrętu, nad którym woda strasznym wirem się kręci, było arcydziełem mechaniki. Jeńcy pływają tak długo na powierzchni wzdętego morza śród błyskawic i piorunów, aż pokąd nie pojawi się łódź, na którę wsiadłszy, śród przygód, do lądu zawijają.

Doktor nadzwyczajny. Z Wajmaru pod dniem 19go listopada donoszą, że w Turyngii zjawił się doktor nadzwyczajny, który rzekłbyś cudem chorych uzdrawia. I tak, pewien doktor odstąpił dziecię, jako nie do wyleczenia; lecz gdy nazajutrz je odwidził w mniemaniu, że zastanie trupa, ujrzał, że na dziecię wielki pot wystąpił. Lekarz badając co sprawiło to zbawienne przesilenie, dowiedział się, że do domu przyszedł jakiś pastérz młody, który wziąwszy dziecię na ręce, pogłaskał je kilkakrotnie. Lékarz zaczął tę rzecz rozpoznawać dokładniéj i przekonał się, że młody pastuszek ma w sobie nadzwyczajną siłę magnetyczną. Taki był piérwszy występ tego młodego człowieka, który teraz wielką uwagę zwraca. Przed kilku miesiącami przyszedł do Erfurtu, i w krótkim czasie zjednał sobie tamże kilką kuracyjami tak wielką wziętość, że z całéj okolicy przychodzili do niego chorzy z prośbą, aby im swéj pomocy udzielał, tak dalece, iż dom, w którym mieszkał, formalnie był w oblężeniu. Ma on léczyć szczególniéj na gościec i osłabienie nerwów, a mianowicie dotykaniem się rękami i głaskaniem. Elektryczność w tym człowieku ma być tak wielka, iż za samém dotknięciem się jego ręki widocznie się pojawia; chorzy, którym

ten człowiek pogłaszcze głowę i członki, w kilka godzin dostają wielkiéj transpiracyi, która do uleczenia pomaga. Człowiek ten za wdaniem się lekarzy, musiał wyjechać z Erfurtu; obecnie bawi w Arnstadzie, a i tam cisną się ludzie i żądają od niego pomocy. Wiele osób oczekuje go z upragnieniem także w Wajmarze, i słychać, że wkrótce tu przybędzie. Spodziéwamy się, że zjawienie to ze wszech miar u nas wzgląd znajdzie, a to tém bardziéj, ile że pewnemu hrabiemu, który magnetyczną siłą w Dreźnie kurował, nawet sam rząd do wykonywania téj kuracyi pozwolenia udzielił.

Ubóstwo klasy pracującéj. *Journal des Debats* wynalazł sposób zabieżenia ubóstwu pracującéj klasy, i tak mówi on: Niech robotnicy uzbierany grosz znoszą do kasy oszczędności. To nam przypomina owo zdanie: »Kiedy nié masz chleba, wtedy jedz kołacze.« — Pisma publiczne obfitują czasem w takie pomysły. Podczas cholery prefekt policyi w Paryżu kazał poprzylépiać na rogach ulic uwiadomienie, w którém przestrzega lud, aby złych i nie strawnych żywności nie jadł, lecz żeby pił wino Bordeaux, które nerwy wzmacnia.

Pewien Anglik przeprawiał się tego lata na jednym i tymże samym statku parowym przez całe cztery tygodnie dzień za dniem z Kolonii do Moguncyi, a z Moguncyi do Kolonii. Okolicznością tą zdziwiony kapitan okrętowy rzekł do podróżnego: »Zdaje się, że okolica nadreńska bardzo się wpanu podobała.«—»Co tam okolica?« odrzekł Anglik, »ja byłem w Neapolu i Konstantynopolu, i widziałem okolice nierównie piękniejsze niż ta; ale tak smacznych kotletów, jakie tu na tym statku sporządzają, nie znalazłem na całym świecie; dla tego zamyślam z wpanem jeszcze kilkakrotnie podróż odprawić.«

Tłocznię, przy któréj niegdy Benjamin Franklin jako składacz czcionek w Londynie pracował, zawieziono teraz do państwa Stanów Zjednoczonych, i jako relikwiję umieszczono w domu towarzystwa technicznego, którego założycielem i piérwszym prezydenten był Franklin.

Nagłe wyzdrowienie. W Yzendyke wydarzył się niedawno ten przypadek, że dwudziesto-pięcioletni człowiek, który w dziesiątym roku swego życia nagle oniemiał, nocną porą bez wszelkiéj pomocy lékarskiéj mowę odzyskał.

Odbyt na śledzie w Paryżu tego roku jest niesłychany. Najdawniejsi kupcy w rybiarniach nie pamiętają, aby kiedy taka ilość śledzi była w Paryżu, jak tego roku. Ztąd też żywność ta, jest bardzo tania. Za śledzie, które w poprzednich latach kosztowały 15—20 centymów, płaci się obecnie tylko 6 do siedmiu. Klasa robotników na ten raz prawie niczém innem nie żyje, tylko śledziami, przezco mięso nié ma wielkiego odbytu.

Z Rzymu donoszą: Pan Kaniewski, Polak, pensyjonista rossyjski, który już dawniéj kilka wielkich obrazów dla swego rządu wymalował, a między témi prócz wielu własnych jego kompozycyj, wymieniamy tylko du[illegible], téj samej co oryginał wielkości kopiję Atyli Rafała w Watykanie, skończył teraz na rozkaz Wielkiego księcia następcy tronu, obraz przedstawiający wskrzeszenie syna wdowy i wystawił go na widok publiczny. W całym tym obrazie widać dążność do doskonałości, a styl udowodnia, że p. Kaniewski obrał sobie za wzór Rafała. Obraz ten zaleca się prostotą i spokojnością, równie jak i poważnym kolorytem. Artysta ten malował piérwéj dla papiéża wizerunek Wielkiego księcia, następcy tronu, w czasie jego pobytu w Rzymie, a późniéj dla Wielkiego księcia wizerunek papiéża. Skłoniono go także do zrobienia kilka kopij tego ostatniego obrazu już dla samego papiéża już dla wielu kardynałów, za co oprócz przyzwoitéj nagrody, także duży złoty medal i krzyż kawalerski złotej ostrogi otrzymał. P. Kaniewski wezwany jest do Rossyi dla objęcia posady w akademii petersburskiéj.

Dowód, że wiek teraźniejszy nierównie więcéj pisze niż starożytni. W izbie reprezentantów amerykańskich wydano 1838 i 1839 roku ogromną summę 73,488 dolarów li tylko za materyjał do pisania, mianowicie za 837,500 piór gęsich, a 69,552 stalowych, a co jest rzeczą szczególniejszą, 470 dolarów za samo temperowanie. Do tego stopnia przecież starożytni nie doprowadzili.

W sławnym z Egiptu do Paryża sprowadzonym obelisku zrobiła się rysa od samej podstawy aż do trzeciéj części jego wysokości idąca. Wypadł także materyjał, którym ją spoić chciano, a ponieważ ta rysa z każdym dniem się powiększa, przeto bardzo się obawiają, aby się nie obalił.

Odkryte zabójstwo. Kupiec handlujący porcelaną, jechał z ładunkiem tejże i innego naczynia do miasteczka, niedaleko Lorient. Na gościńcu spotkał dziécię bardzo zmęczone, które zaledwie iść mogło. Dziécię zaczęło prosić, by je na wozie umieścił; na co gdy kupiec zezwolił, usiadło pośrodku wozu. »Tam ci będzie zimno«, rzekł kupiec, »ale ja ci cieplejsze miejsce wynajdę.« To rzekłszy, wsadził dziécię w kąt, w którym zwykle pies sypiał i gdzie ciepłutko było. Wkrótce potem napadli na kupca dwaj uzbrojeni zbójcy, zabrali mu kilka tysięcy franków gotowki, i położywszy go na gościńcu, wozem przez niego przejechali, by się zdawało, że mu się przypadek zdarzył. Atoli dziécię siedzące w kąciku, widziało wszystko i słyszało ich mowę. Zdaje się, że Opatrzność umyślnie je wybrała, by się przyczyniło do odkrycia zabójstwa, równie jak i wielu innych bezprawiów. Gdyż od niejakiego czasu, wydarzały się w téj okolicy bardzo często podobne przypadki, a nikomu na myśl nie przyszło, że zbójcy używają takich przebiegów. Po dokonanéj zbrodni, gdy się zbójcy oddalili, siedziało dziécię cicho, i dozwoliło koniom iść samym, które zajechały na zwyczajne dla siebie miejsce. Tam dziécię wysiadłszy z wozu, opowiedziało w szynkowni cały przypadek, i właśnie gdy skończyło opowiadanie, spostrzegło dwóch pod piecem siedzących złoczyńców, którzy natychmiast przytrzymani zostali. Z badania okazało się, że to byli dwaj zbiegli niewolnicy z Bagno, którzy jako żandarmy się poprzebiérali.

Jules Janin redaktor *feuilletonu Journal des Debats*, dawał dnia 13go listopada bal bardzo świetny. Z ośmset osób zaproszonych, sześćset przybyło. Byli tam wielcy urzędnicy, ministrowie, artyści, literaci, sędziowie i t. d. Jules Janin ozdobiony krzyżem legii honorowéj i dyjamentowym orderem *Niszani - Iftihar*, przyjmował gości, jako pan możny. Rząd, sądownictwo, stan adwokatów, instytut, dziennikarze i księgarnie mieli tam swoich reprezentantów; również cały *Journal des Debats* w promiennym blasku, jako to: Saint Marc Girardin, Cuvillier-Fleury de Sasy, Ainy, Martin, Berlioz i t. d.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.